

Juliusz Verne

Pan Dis i panna Es

Tłumaczenie: Barbara Supernat (1996)

Wstęp

(pochodzi z wydania broszurowego)

Oddajemy do rąk członków naszego Towarzystwa nowy tomik „Biblioteki Andrzeja”, tym razem zawierający opowiadanie, jakże odpowiednie na zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

Opowiadanie *Pan Re-Krzyżyk i panna Mi-Bemol* ukazało się po raz pierwszy w roku 1893 w *Le Figaro Illustré* [nr 45, s. 221-228]. Była to wersja skrócona Juliusza Verne’a.

Po śmierci pisarza, jego syn, Michel, wraz z wydawcą Hetzelem (synem), pozmieniali, między innym także ten utwór i wydali w roku 1910, z 6 ilustracjami George’a Rouxa, w zbiorze opowiadań zatytułowanym *Hier et demain* [*Wczoraj i jutro*].

Właśnie tę wersję dzisiaj prezentujemy Czytelnikom. Mamy nadzieję, że spodoba się wszystkim, zarówno dorosłym jak i dzieciom. Wersję oryginalną Juliusza Verne’a postaramy się wydać w roku 2003.

Życzę przyjemnej lektury

Andrzej Zydorczak

I

Było nas w szkole w Kalfermatt około trzydziściorga dzieci: dwudziestu chłopców, w wieku od sześciu do dwunastu lat, oraz dziewięć dziewczynek, od czterech do dziewięciu lat. Jeśli chcecie wiedzieć dokładnie, gdzie się znajduje ta miejscina, to, według mojej Geografii (s. 47), leży ona w katolickich kantonach Szwajcarii, niedaleko jeziora Konstancji¹, u stóp gór Appenzel.

- Hej tam, panie Josephie Müller?
- Tak, panie Valrügis? – odrzekłem.
- Co pan tam pisze podczas mojej lekcji historii?
- Notuję, proszę pana.
- Dobrze.

Tak naprawdę to rysowałem ludzika, kiedy nauczyciel opowiadał nam po raz tysięczny historię Wilhelma Tella² i nieokrzesanego Gesslera³. Nikt jej nie znał tak jak on. Jedynym punktem do wyjaśnienia była następująca kwestia: do jakiego gatunku, renet czy kalwilli, należało historyczne jabłko, które bohater Helwecji⁴ położył na głowie swojego syna; jabłko, które było przedmiotem równie żartowych dyskusji jak to, które nasza matka Ewa zerwała z drzewa wiadomości dobrego i złego.

Miasto Kalfermatt jest przyjemnie położone na dnie jednej z tych dolin, które nazywane są *van*, wglębionej z drugiej strony góry, gdzie promienie słoneczne nie mogą sięgnąć nawet latem. Szkoła, ocieniona obfitym listowiem, na krańcu miasteczka, nie ma wcale ponurego wyglądu zakładu podstawowego nauczania. Ma wygląd wesoły, o miłym wyrazie, z dużym zazielenionym podwórzem, z beczką na deszczówkę i małą dzwonniceczką, której dzwonek śpiewa jak ptak wśród gałęzi.

Rządzi szkołą pan Valrügis, tak naprawdę to wspólnie ze swą siostrą Lisbeth, starą panną, surowszą od niego. Wystarczy ich dwoje do nauczania: czytanie, pisanie, rachunki, geografia, historia – historia i geografia Szwajcarii oczywiście. Mamy lekcje codziennie, prócz czwartków i niedziel. Przychodzimy na ósmą, z koszykiem i książkami związanymi rzemieniem. W koszyku jest coś do jedzenia na obiad: chleb, mięso na zimno, ser, owoce, połówka butelki rozcieńczonego wina. Wśród książek jest co wybrać do nauki: dyktanda, cyfry, problemy. O czwartej odnosimy do domu koszyk opróżniony do ostatniego okruszka.

- Panna Betty Clère?
- Tak, panie Valrügis? – odpowiada dziewczynka.
- Nie wydajesz się panna uważać na to, co dyktuję. Gdzie to jesteśmy?
- W momencie – mówi Betty jękając się – kiedy Wilhelm odmawia pokłonenia się czapce...
- Błąd!... Nie jesteśmy już przy czapce, ale przy jabłku, bez względu na to jakiej jest ono odmiany!...

Panna Betty Clère, cała zawstydzona, opuściła oczy po przesłaniu mi tego miłego spojrzenia, które tak lubiłem.

– Bez wątpienia – podjął ironicznie pan Valrügis – gdyby tę historię się śpiewało, miast ją recytować, przy waszych chęciach do śpiewu mielibyście z niej więcej przyjemności. Ale nigdy żaden muzyk nie ośmielił się takiego tematu przenieść do muzyki⁵.

Być może miał rację nasz nauczyciel? Któryż kompozytor upierałby się, że potrafi tak poruszać struny! A jednak, kto wie?... W przyszłości...

Tymczasem pan Valrügis prowadził dalej swe dyktando. Dużi i mali, słuchaliśmy z nastawionymi uszami. Usłyszelibyśmy świst strzały Wilhelma Tella przecinającej klasę... po raz setny od ostatnich wakacji.

II

ewne jest, że pan Valrūgis nadawał muzyce bardzo niewielkie znaczenie. Miał rację? Byliśmy zbyt młodzi, aby mieć na ten temat swoje zdanie. Pomyślcie, byłem wśród dorosłych a nie miałem jeszcze nawet dziesięciu lat. A jednak dobry tuzin spośród nas kochał bardzo piosenki naszego regionu, stare kolędy, a także hymny uroczystych świąt, antyfony z antyfonarza⁶ wykonywane przy akompaniamencie organów kościoła w Kalfermatt. Kiedy drżą witraże, dzieci z chóru wznoszą swe głosy do falsetu,⁷ kadzielnice kołyszają się i wydaje się, że wersety, motety, responsoria⁸ ulatują pośród aromatycznych oparów...

Nie chcę się chwalić, bo jest to złe, i chociaż byłem jednym z pierwszych w klasie, nie do mnie należy o tym mówić. Jeżeli spytacie mnie teraz, dlaczego ja, Joseph Müller, syn Guillaume'a Müllera, obecnie, jak mój ojciec, naczelnik poczty w Kalfermatt i Marguerity Has, otrzymałem wtedy przydomek Dis i dlaczego Betty Clère, córka Jeana Clère'a i Jenny Rose, karczmarki z opisywanego miejsca, nosiła pseudonim Es, odpowiem wam – cierpliwości, dowiecie się tego wkrótce. Nie pędźcie szybciej, niż potrzeba, moje dzieci. Pewne jest tylko, że nasze dwa głosy łączyły się przyjemnie w oczekiwaniu, że zostaniemy sobie oddani. Moje dzieci, w dniu, kiedy piszę tę historię, mam już swoje lata i znam sprawy, których wówczas nie znałem – nawet w muzyce.

O tak! Pan Dis poślubił pannę Es i jesteśmy bardzo szczęśliwi. Wiodło nam się dobrze dzięki naszej pracy i przykładowemu życiu!... Jeżeli szef poczty nie umiałby się zachować, to kto wie, jak by było?...

A więc, jakieś czterdzieści lat temu, śpiewaliśmy w kościele, bo, trzeba wam to wiedzieć, że zarówno małe dziewczynki jak i mali chłopcy należeli do chóru w Kalfermatt. Zwyczajem tego nie uważano za mijający się z moralnością – i miano rację. Któżby zastanawiał się kiedykolwiek nad płcią serafinów⁹ pochodzących z nieba?

III

Szkoła śpiewu kościelnego naszej miejsciny miała wielkie uznanie dzięki swemu dyrektorowi, organiście Eglisakowi. Jakim był on nauczycielem solfeżu¹⁰ i jakich umiejętności używał, aby nauczyć nas wokalizy!¹¹ Uczył nas metrum, wartości nut, skal, tonacji, budowy gam! Wspaniały, wspaniały, czcigodny Eglisak! Mówiono, że jest genialnym muzykiem, kontrapunkcistą,¹² nie mającym godnych siebie rywali, i że skomponował wspaniałą fugę,¹³ fugę czteroczęściową!

Ponieważ nie wiedzieliśmy za bardzo co to jest, zapytaliśmy go więc o to pewnego dnia.

– Fuga... – powtórzył, unosząc głowę w kształcie pudła kontrabas.

– To utwór muzyczny? – powiedziałem.

– Muzyki transcendentalne,¹⁴ mój chłopcze.

– Chcielibyśmy ją usłyszeć – wykrzyknął mały Włoch, o imieniu Farina, obdarzony ładnym kontratenorem,¹⁵ wznoszącym się... wznoszącym... aż do nieba.

– Tak – dodał mały Niemiec, Albert Hocht, którego głos schodził... schodził... aż do środka ziemi.

– No więc, panie Eglisak?... – powtarzali inni chłopcy i dziewczynki.

– Nie, moje dzieci. Poznacie moją fugę dopiero, gdy będzie skończona...

– A kiedy to będzie? – zapytałem.

– Nigdy!

Popatrzyliśmy na siebie i na niego, a on uśmiechał się lekko.

– Fuga nigdy nie jest skończona – rzekł. – Można zawsze do niej dodać nowe części.

Nigdy nie usłyszeliśmy słynnej fugi profana¹⁶ Eglisaka; ale dla nas napisał on muzykę do Hymnu do świętego Jana Chrzciciela. Znacie ten rymowany psalm, którego pierwszych sylab Guido z Arezzo użył do oznaczenia nut gamy:¹⁷

Ut queant laxis

Resonare fibris

Mira gestorum

Famuli tuorum,

Solve polluti,

Labii reatum,

Sancte Ioannes.

Si nie istniało jeszcze za czasów Guida z Arezzo. Dopiero w 1026 niejaki Guido¹⁸ uzupełnił gamę dodaniem czulej nuty,¹⁹ co wydaje mi się bardzo słuszne.

Tak naprawdę, kiedy śpiewaliśmy ten psalm, niejedyn przybywał z daleka tylko po to, aby go słuchać. Co znaczyły te dziwaczne słowa, nikt tego w szkole nie wiedział, nawet pan Valrügis. Wierzono, że pochodzą one z łaciny, ale nie było to pewne. A jednak wydaje się, że psalm ten będzie śpiewany na Sądzie Ostatecznym i możliwe jest, że Duch Święty, który mówi wszystkimi językami, przetłumaczy go na język Edenu.²⁰

Nie ulega wątpliwości, że pan Eglisak uchodził za wielkiego kompozytora. Niestety, dotknęło go godne pożałowania kalectwo, które wydawało się powiększać. Z wiekiem jego

ucho stawało się coraz bardziej nieczułe. Zauważaliśmy to, ale on nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Toteż, aby go nie martwić, zwracając się do niego, krzyczeliśmy i nasze falsety dawały radę poruszyć drzeniem jego bębni. Ale godzina, w której jego głuchota stać się miała całkowita, nie była daleka.

Nastąpiło to pewnej niedzieli na nieszpórach. Ostatni psalm Kompletu²¹ skończył się, a Eglisak, grając na organach, zapomniał się w kapryсах swej imaginacji. Grał, grał i nie miało to końca. Nie ośmielano się wychodzić w obawie, że sprawi mu to przykrość. Ale oto kalikant,²² nie mogąc już więcej dmuchać, przestał. Organy pozbawione zostały oddechu... Eglisak tego nie zauważył. Akordy, arpeggia²³ płyną i silnie brzmią pod jego palcami. Ani jeden dźwięk się nie unosi, gdy tymczasem w jego duszy artysty – wciąż brzmi... Zrozumiano: nieszczęście właśnie go dopadło. Nikt nie ośmielił się mu o tym powiedzieć. Tymczasem kalikant zszedł wąskimi schodkami z chóru...

Eglisak nie przestał grać. I tak trwało cały wieczór, całą noc i jeszcze nazajutrz: jego palce przebiegały milczącą klawiaturę. Trzeba było go wyciągnąć siłą... Biedny człowiek w końcu zdał sobie z tego sprawę. Był głuchy. Ale to nie przeszkodziłoby mu skończyć fugi. Tyle, że nie słyszałby jej, to wszystko.

Od tego dnia wielkie organy nie grały już w kościele w Kalfermatt.

IV

inęło sześć miesięcy. Nadszedł listopad, bardzo zimny. Biały płaszcz okrywał góry i schodził aż do ulic. Przychodziliśmy do szkoły z czerwonymi nosami i zsiniałymi policzkami. Czekałem na Betty, okrążając plac. Jak ślicznie wyglądała pod swym opuszczonym kapturkiem!

– To ty, Josephie? – spytała.

– To ja, Betty. Ale mroźno dziś rano. Dobrze się otul! Zapnij pelisę...²⁴

– Tak, Josephie. A może byśmy tak pobiegli?

– O, świetny pomysł. Daj mi swoje książki, poniosę je. Uważaj, żebyś się nie przeziębiła. To byłoby wielkie nieszczęście, gdybyś straciła swój śliczny głosik...

– A ty swój, Josephie!

Rzeczywiście, to byłoby bardzo pechowe. Dmucnąwszy parę razy na palce, pobiegliśmy pędem, aby się rozgrzać. Na szczęście w klasie było ciepło. Piec huczał. Nie oszczędzano drewna. Jest go tyle u stóp gór, bo wiatr obala drzewa... Wystarczy tylko zadać sobie trochę trudu i pozbierać... Jak te gałązki wesoło trzaskały!

Zebraliśmy się wokół pieca. Pan Valrügis pozostawał w futrze, a czapa futrzana opadała mu aż na oczy. Petardy wybuchały jakby brały udział w strzelaniu z rusznic w historii Wilhelma Tella. Pomyślałem, że gdyby Gessler miał tylko czapkę, musiałby się przeziębić, gdyby rzecz toczyła się w zimie, a czapka sterczałaby na końcu tyczki.

Dobrze wtedy pracowaliśmy – lektura, pisanie, liczenie, recytacje, dyktando – toteż nauczyciel był zadowolony. Ale muzyka umilkła. Nie znaleziono nikogo zdolnego do zastąpienia starego Eglisaka. Oczywiście zapominaliśmy wszystko, czego nas nauczył! Cóż za nieszczęście, że do Kalfermatt nie przybył inny dyrektor chóru kościelnego! Gardła rdzewiały, organy także, a kosztowały one coraz więcej od naprawy do naprawy...

Proboszcz wcale nie ukrywał swojego zmartwienia. Teraz, kiedy nie towarzyszyły mu organy, jakże fałszywie brzmiał biedak, zwłaszcza podczas Prefacji!²⁵ Głos opadał stopniowo, a kiedy dochodził do *supplici confessione dicentes*²⁶ na próżno szukał tonów. U niektórych powodowało to śmiech. U mnie wywoływało to litość, u Betty również. Nic nie było równie smutne jak msze w tym czasie.

Na Wszystkich Świętych nie było pięknej muzyki. Zbliżało się Boże Narodzenie ze swymi *Gloria, Adeste Fideles, Exultet!*...²⁷

Ksiądz proboszcz spróbował innego sposobu. Chciał zastąpić organy serpentem.²⁸ A przynajmniej z serpentem już nie brzmiałby fałszywie. Trudność nie polegała na znalezieniu tego przedpotopowego instrumentu. Jeden, od lat nie używany, zawieszony był na ścianie zakrystii. Ale gdzie znaleźć serpentystę? Czy nie można byłoby zatrudnić kalikanta od organów, będącego aktualnie bez pracy?

– Dmuchałeś? – spytał pewnego dnia proboszcz.

– Tak – odpowiedział ten dzielny człowiek – moim miechem, ale nie ustami.

– Cóż za różnica? Spróbuj, czy dasz radę...

– Spróbuję...

I spróbował. Dmuchał w serpent, lecz dźwięk, jaki się z niego wydobył, był wstrętny. Od kogo pochodził? Od niego, czy od dzikiego zwierza? Lepiej nie pytać. Trzeba było więc zrezygnować i wielce prawdopodobnym stało się, że święta Bożego Narodzenia będą równie smutne jak ostatnia uroczystość Wszystkich Świętych. Ponieważ organy nie grały z powodu braku Eglisaka, szkoła śpiewu nie funkcjonowała także. Nikt nie mógł nam dawać lekcji, nikt nie wybijał taktu – oto dlaczego Kalfermatczycy byli zasmuceni. Aż wreszcie mieścina zbuntowała się.

To było 15 grudnia. Panował ostry ziąb z tych, jakie przynoszą wiatry z daleka. Jakikolwiek głos ze szczytu gór dotarłby w tym momencie aż do miasteczka; strzał z pistoletu oddany w Kalfermatt słyszał byłoby w Reischarden, i jeszcze dobrą milę dalej.

Była sobota. Poszedłem wtedy na obiad do pana Clère'a. Nazajutrz nie było lekcji. Kiedy przepracowało się cały tydzień, można sobie odpocząć w niedzielę – nieprawdaż?. Wilhelm Tell ma też prawo do nieróbstwa, kiedy jest zmęczony po sześciu dniach²⁹ spędzonych w centrum uwagi pana Valrügisa.

Dom oberżysty znajdował się na małym placu, na lewo, prawie naprzeciw kościoła. Słysząc tam było skrzywienie chorągiewki na szczycie spiczastej dzwonnicy.

U Clère'a było jakieś pół tuzina klientów, ludzi miejscowych, a ustalono, że tego wieczoru Betty i ja zaśpiewamy im śliczny nokturn Salviatego³⁰.

Po skończeniu posiłku posprzątano i ustawiono na miejsce krzesła. Właśnie zaczynaliśmy, kiedy odległy dźwięk dotarł do naszych uszu.

- Co to jest? – ktoś zapytał.
- Wydaje się, że dochodzi to z kościoła – odrzekł ktoś inny.
- Ależ to organy!...
- Chodźmy! Czyżby organy grały same?...

A tymczasem dźwięki rozchodziły się wyraźne, to *crescendo*, to *diminuendo*,³¹ nadymając się niekiedy jakby wychodziły z grubych puszczalek instrumentu.

Mimo zimna otworzyliśmy drzwi oberży. Stary kościół był zaciemniony, żadne światło nie przenikało poprzez witraże nawy. To wiatr, bez wątpienia, prześlizgiwał się przez otwory w murach. Pomyliliśmy się. Wieczorek miał być znów wznowiony, kiedy zjawisko powtórzyło się z taką intensywnością, że nie mogło być mowy o pomyłce.

- Ktoś gra w kościele! – krzyknął Jean Clère.
- To na pewno diabeł – powiedziała Jenny.
- Czy diabeł umie grać na organach? – zareplikował oberżysta.
- „A czemu nie?” – pomyślałem sobie.

Betty wzięła mnie za rękę.

- Diabeł? – spytała.

Tymczasem wychodzące na plac drzwi pomału kolejno się otwierały, ludzie pokazywali się w oknach. Zastanawiali się. Ktoś w oberży powiedział:

- Ksiądz proboszcz pewnie znalazł i sprowadził organistę.

Jak mogliśmy nie pomyśleć o wyjaśnieniu tak prostym? Faktycznie, proboszcz pojawił się na progu plebanii.

- Co się dzieje? – spytał.
- Grają na organach, księżę proboszczu – wykrzyknął oberżysta.
- Dobrze. To pewnie Eglisak zasiadł za swoją klawiaturą.

Rzeczywiście, bycie głuchym wcale nie przeszkadza poruszać palcami po klawiszach. Możliwe, że stary profesor miał fantazję wejść na chór wraz z kalikantem. Trzeba zobaczyć. Ale kruchta była zamknięta.

– Josephie – powiedział do mnie proboszcz – idź do pana Eglisaka.

Pobiegłem tam, trzymając Betty za rękę, ponieważ nie chciała mnie opuścić.

Pięć minut później byliśmy z powrotem.

– No, więc? – spytał mnie proboszcz.

– Nauczyciel jest u siebie – powiedziałem, ledwo łapiąc oddech.

To była prawda. Jego służąca oświadczyła mi, że śpi w swoim łóżku jak zabity i cały hałas, jaki wydają organy, nie mógłby go obudzić.

– No więc kto tam jest? – zamruczała pani Clère niepewnie.

– Dowiemy się! – zawołał proboszcz, zapinając pelisę.

Organy brzmiały nadal, jakby wychodziła z nich burza dźwięków. Rejestr szesnastostopowy pracował na cały dech: niski głos pomocniczy wydawał intensywne dźwięki; nawet trzydziestodwustopowy rejestr, ten, który ma najniższy dźwięk, mieszał się do tego ogłuszającego koncertu. Plac wydawał się jak wymieciony burzą dźwięków. Można było powiedzieć, że kościół był już tylko wielkimi organami, wraz ze swą dzwonnica jak burdon,³² który wydawał swe fantastyczne *F-kontra*.

Powiedziałem, że drzwi kruchty były zamknięte, ale kiedy okrążyliśmy kościół, zobaczyliśmy, że małe drzwiczki, dokładnie naprzeciw lokalu Clère'ów, były uchylone. To tędy musiał wejść intruz. Do środka wszedł najpierw proboszcz, potem dołączył do niego kościelny. Przechodząc, zanurzyli z ostrożności palce w muszli z wodą święconą i przeżegnali się. Za nimi podobnie uczynili pozostali.

Nagle organy ucichły. Melodia grana przez tajemniczego organistę urwała się na kwarcie i sekście,³³ które zaniknęły pod ciemnym sklepieniem.

Czyżby wejście tych wszystkich ludzi tak gwałtownie ucięło natchnienie artysty? Łatwo było w to uwierzyć. Teraz nawa, przed chwilą pełna harmonijnych dźwięków, znowu zapadła w ciszę. Mówię ciszę, bo wszyscy milczeliśmy wśród filarów, odczuwając emocję podobną tej, jaką odczuwa się, kiedy po nagłej błyskawicy słyszy się huk gromu.

Nie trwało to długo. Trzeba było dowiedzieć się, czego mamy się trzymać. Kościelny i inni dwaj czy trzej najbardziej odważni skierowali się w głąb nawy, do krętych schodków prowadzących na chór. Pokonali stopnie, lecz przybywszy na galerię, nie znaleźli tam nikogo. Pokrywa klawiatury była opuszczona. Miech, w połowie jeszcze nadęty powietrzem, które nie mogło się ulotnić z powodu małego otworu, pozostawał nieruchomo, z uniesioną rączką.

Najprawdopodobniej, korzystając z zamieszania i ciemności, intruz mógł zejść po krętych schodkach, ulotnić się poprzez małe drzwiczki i uciec przez miasteczko.

Nieważne! Kościelny pomyślał, że byłoby może dobrze, tak na wszelki wypadek, odprawić egzorcyzmy.³⁴ Ale proboszcz sprzeciwił się temu i miał rację, bo dostałoby mu się za nie.

V

azajutrz miasteczko Kalfermatt liczyło jednego, może nawet dwóch mieszkańców więcej. Można było zobaczyć ich spacerujących po placu, tam i z powrotem wzdłuż głównej ulicy, idących aż do szkoły i w końcu wracających do oberży Clère'ów, gdzie zamówili dwuosobowy pokój na czas, którego nie określili.

– To może być jeden dzień, jeden tydzień, jeden miesiąc, jeden rok – powiedział ważniejszy z tych dwóch osobników; według tego, co doniosła mi Betty, kiedy tylko dołączyła do mnie na placu.

– Czyż byłby to wczorajszy organista? – zapytałem.

– Ha, to możliwe, Josephie.

– Ze swoim kalikantem?

– Bez wątpienia grubym – odpowiedziała Betty.

– A jacy oni są?

– Jak wszyscy.

Jak wszyscy, to oczywiste, bo mieli głowy na ramionach, ręce przyczipione do tułowia, stopy na końcach nóg. Ale można mieć to wszystko i nie być podobnym do nikogo. I właśnie o tym się przekonałem, kiedy około jedenastej dostrzegłem w końcu tych dwóch obcych, tak dziwnych.

Szli jeden za drugim. Jeden miał między trzydzieści pięć a czterdzieści lat. Był to osobnik wychudły, suchy, rodzaj ogromnej czapli, upierzonej w wielką żółtawą kapotę. Nogi miał podwojone wąskim wywinieniem pończoch, spod których wystawały spiczaste stopy. Przyozdobiony był w czapkę z piórem. Jakaż wąska, gładka twarz! Oczy zmrużone, małe, ale przenikliwe, z ognikiem w głębi źrenicy; ostre, białe zęby, nos zwężony, usta zaciśnięte, podbródek wystający. A jakie dłonie! Palce długie, długie... z tych, jakie mogą na klawiaturze objąć półtorej oktawy!³⁵ Drugi – przysadzisty, o szerokich barach, szerokim torsie, wielkiej głowie rozczochranej pod szarawym pilśniowym kapeluszem, o twarzy upartego byka, z brzuchem wygiętym jak *klucz f*.³⁶ To osobnik mający około trzydziestki, silny tak bardzo, że mógłby pobić najtęższego miejscowego osiłka.

Nikt nie znał tych ludzi. Po raz pierwszy przybywali w nasze strony. Na pewno nie byli Szwajcarami, raczej pochodzili ze Wschodu, spoza gór, od strony Węgier.³⁷ I faktycznie tak było, o czym dowiedzieliśmy się później.

Po zapłaceniu w oberży Clère'ów za tydzień z góry, zjedli z wielkim apetytem obiad, nie odmawiając sobie dobrych rzeczy. Teraz spacerowali po okolicy, jeden przed drugim, wielkim krokiem, rozglądając się, gadając, podśpiewując, poruszając bez przerwy palcami, gestem szczególnym uderzając podstawę karku dłonią i powtarzając:

– Wolność... wolność! Dobrze!

Patrzyłem na nich szeroko otwartymi oczami, kiedy duży spojrział na mnie i dał mi znak, abym się zbliżył.

Naprawdę, to miałem nieco stracha, ale w końcu zaryzykowałem a on powiedział do mnie cieniutkim głosikiem dziecięcia z chóru:

– Mały, gdzie jest dom proboszcza?

– Dom pro... proboszcza?...

– Tak. Zechciałbyś mnie tam zaprowadzić?

Myślałem, że proboszcz mnie skrzyczy za przyprowadzenie mu tych dwóch osób, zwłaszcza dużego, którego spojrzenie mnie fascynowało. Chciałem odmówić. Ale było to niemożliwe i poprowadziłem ich w stronę plebanii.

Dzieliło nas odeń pięćdziesiąt kroków. Pokazałem drzwi i uciekłem biegiem, kiedy kołatka biła ósemki, po których następowwała ćwierćnuta.

Koledzy czekali na mnie na placu. Pan Valrügis był wraz z nimi. Wypytywali mnie. Opowiedziałem, co się wydarzyło. Patrzyli na mnie... Nie do pomyślenia! On się do mnie odezwał!

Ale to, co mogłem powiedzieć, niewiele zdołało wyjaśnić, co ci dwaj przybysze mieli zamiar robić w Kalfermatt. Dlaczego chcieli rozmawiać z proboszczem? Jak on ich przyjął? Czy nic złego mu się nie stało? A jego służącej, starej gospodyni, której czasami mieszało się w głowie?

Wszystko wyjaśniło się po południu.

Ten dziwaczny typ – większy – nazywał się Effarane. Był to Węgier, jednocześnie artysta, stroiciel i wytwórca organów, organista – jak mówiono – zajmujący się naprawami, jeżdżący z miasta do miasta i tym sposobem zarabiający na życie.

To on, domyślaliśmy się, poprzedniego dnia, wszedłszy z drugim osobnikiem, swym pomocnikiem i kalikantem, przez boczne drzwi, obudził echa starego kościoła, wywołując burze harmoniczne. Ale słyszało się, że instrument w niektórych miejscach jest uszkodzony i wymaga napraw, a on ofiarował się zrobić to za niewielkie pieniądze. Certyfikaty świadczyły o jego zdolności w pracach tego typu.

– Niech pan to zrobi. Niech pan to zrobi! – powiedział proboszcz, który bardzo się śpieszył z akceptacją tej oferty. I dodał:

– Nieba niech będą dwakroć pochwalone, że wysyłają nam mistrza organów pańskiej klasy, a trzykroć byłyby, gdyby zesłały nam jeszcze organistę...

– A więc ten biedak Eglisak?... – spytał mistrz Effarane.

– Jest głuchy jak pień. Pan go zna?

– Ech, kto nie zna człowieka z fugą!

– Od sześciu miesięcy nikt już nie gra w kościele, ani nie uczy w szkole. Mieliśmy więc msze bez muzyki na Wszystkich Świętych, być może też i na Boże Narodzenie...

– Proszę się nie bać, księżo proboszczu – odpowiedział mistrz Effarane. – Za piętnaście dni naprawy mogą być zakończone, a jeżeli ksiądz zechce, na Święta zagram na organach.

I mówiąc to, poruszał bez przerwy niekończącymi się palcami, trząsał w stawach i naciągał je jak rękawiczki z gumy.

Proboszcz podziękował artyście dobrymi słowami i poprosił go, by rzekł co myśli o organach w Kalfermatt.

– Są dobre – odpowiedział mistrz Effarane – lecz niekompletne.

– A czego im brakuje? Nie mają ci one dwudziestu czterech głosów, nie wspominając o głosach ludzkich?

– Ach, to co im brakuje, księżo proboszczu, to dokładnie register, który ja wymyśliłem, a którym myślę wzbogacić ten instrument.

– Jaki register?

– Register głosów dziecięcych – odpowiedział ten dziwaczny osobnik, prostując się na całą swą długość. – O tak, wymyśliłem to ulepszenie. Będzie doskonałe, a moje imię przewyższy sławą Fabriego, Klenga, Erharta, Smida, André, Castendorfera, Krebsa, Müllera,

Agricoli, Kranza, imię Antegnatiego, Constanzy, Graziadei, Serassiego, Tronciego, Nanchininiego, Callidy, imię Sebastiana Erarda, Abbey'a, Cavaillé-Colla...³⁸

Proboszcz musiał uwierzyć, że wyliczanie nazwisk nie zostałyby skończone do nieszpory, które właśnie zbliżały się.

A mistrz organów dodał, czochrając swą fryzurę:

– A gdyby mi się to udało z organami w Kalfermatt, żadne nie mogłyby im dorównać: ani te ze San Alekssandro w Bergamo, ani te ze Saint Paul w Londynie, ani te z Fryburga, ani te z Haarlemu, ani te z Amsterdamu, ani te z Frankfurtu, ani te z Weingarten, ani te z Notre Dame w Paryżu, z Sainte Madelaine, z Saint Roche, z Saint Denis, z Beauvais...

A mówił to wszystko z natchnionym wyrazem twarzy, gestykulując rękami zakreślającymi kapryśne koła. Na pewno przestraszyłby każdego prócz księdza, który kilkoma łacińskimi słowami może zawsze obrócić diabła w nicość.

Na szczęście zadzwieczał dzwon na nieszpory. Wziąwszy swój toczeł,³⁹ którego piórko z lekka przycesał muśnięciem palca, mistrz Effarane głębokim ukłonem pozdrowił księdza i dołączył do swego kalikanta na placu. A kiedy tylko wyszedł, stara służąca poczuła swąd siarki. Prawda jednak była inna – to dymił piec.

VI

czywiście od tego dnia nie mówiono o niczym innym jak o wielkim wydarzeniu, które pasjonowało mieścinę. Ten wielki artysta, zwący się Effarane, w dodatku wielki wynalazca, chciałby wzbogacić nasze organy o registry dziecięcych głosów. A w nadchodzące święta Bożego Narodzenia, po pasterzach i magach w towarzystwie trąbek, dzwonków i fletów, usłyszymy świeże i krystaliczne głosiki aniołów latających wokół małego Jezusa i jego Boskiej Matki.

Prace naprawcze zaczęły się nazajutrz. Mistrz Effarane i jego pomocnik wzięli się do dzieła. W czasie przerw, ja i inni ze szkoły, chodziliśmy ich oglądać. Pozwalano nam wchodzić na górę pod warunkiem, że nie będziemy przeszkadzać. Całe organy były otwarte, obrócone w stan pierwotny. Organy są tylko fletnią Pana⁴⁰ dopasowaną do podstawy, z miechem i registrem, to znaczy ruchomym rzędem, który reguluje dopływ powietrza. Nasze były modelem zawierającym dwadzieścia cztery główne głosy, cztery klawiatury o pięćdziesięciu czterech klawiszach, a także pedały do podstawowych basów dwóch oktaw. Jak bardzo wielkim wydawał nam się ten las rur ze stroikami lub otworami z drewna czy cyny! Zagubić by się można było wewnątrz tego bujnego, zwarteo drzewostanu! A jakże śmieszne nazwy wypływały z ust mistrza Effarane: dubletki, krtaniówki, rejestrki, bombardy, prestantki, grube mikstury! Aż trudno pomyśleć, że było szesnaście piszczałek w drewnie i trzydzieści dwie piszczałki cynowe! W tych rurach można by było zmieścić całą szkołę i pana Valrügisa równocześnie!

Obserwowaliśmy to kłębowisko z pewnym zdumieniem, niemal zachwytem.

– Henri – mówił Hocht, rzucając wymowne spojrzenie – to jest jak maszyna parowa...

– Nie, raczej jak bateria – mówił Farina. – Armaty strzelające kulami muzyki!

Osobiście nie znajdowałem porównań, ale kiedy myślałem o gwałtownej zawierusze, jaką mógłby podwójny miech wysłać poprzez to olbrzymie rurowanie, ogarniał mnie dreszcz, którym byłem wstrząsany przez całe godziny.

Mistrz Effarane pracował w środku tego kłębowiska, nigdy nie gubiąc się w nim. Tak naprawdę organy z Kalfermatt były w dość dobrym stanie i wymagały napraw niezbyt poważnych, raczej czyszczenia z wieloletniego kurzu. To, co sprawiało więcej kłopotów, to strojenie rejestru głosów dziecięcych. Aparat ten znajdował się już na miejscu w pudełku – zestaw kryształowych fletów, które miały wydawać cudowne dźwięki. Mistrz Effarane, doskonały stroiciel i organista, miał nadzieję w końcu osiągnąć sukces w tym, w czym dotychczas wciąż ponosił porażki. Ale widziałem, że tylko próbował na ślepo, podchodząc to z jednej, to z drugiej strony, a ponieważ to nie wychodziło, krzyczał jak rozzłoszczona papuga zniecierpliwiona swoją panią.

Brrr... Te krzyki wywoływały dreszcze na całym moim ciele i czułem jak włosy stają mi dęba na głowie.

Podkreślam, że to, co widziałem, bardzo mnie intrygowało. Wnętrze szerokiego pudła instrumentu, tej wielkiej wypatroszonej bestii, której narządy leżały wszędzie, poruszało mnie aż do obsesji. Marzyłem o nich nocą a za dnia moja myśl bez przerwy do nich wracała. Zwłaszcza pudełko z głosikami dziecięcymi, którego nie ośmieliłem się dotykać, wydawało

mi się klatką pełną dzieci, jakie mistrz Effarane wychowywał po to, aby śpiewały pod jego palcami organisty.

- Co ci jest, Josephie? – pytała mnie Betty.
- Nie wiem – odpowiadałem.
- Być może to dlatego, że zbyt często chodzisz do organów?
- Tak... to może być.
- Nie chodź tam więcej, Josephie.
- Już tam nie pójdę, Betty.

I wracałem tam już tego samego dnia, wbrew własnej woli. Wielka mnie brała chęć, aby zagubić się w środku tego lasu rur, wślizgnąć się do najciemniejszych zakątków, aby iść za mistrzem Effarane'em, którego stukający młoteczek słyszałem w środku organów. Ale starałem się nic nie mówić o tym w domu. Mój ojciec i moja matka pomyśleliby, że zwariowałem.

VII

Osiem dni przed Bożym Narodzeniem byliśmy rano w klasie, dziewczynki z jednej strony, chłopcy z drugiej. Pan Valrügis rozsiadł się na swej katedrze. Jego siostra-staruszka w swym kącie robiła na długich, niczym kucharskie ruszta, drutach. I właśnie Wilhelm Tell przybył obrazić czapkę Gesslera, kiedy otworzyły się drzwi.

To wchodził proboszcz.

Zgodnie z obyczajem wszyscy wstali. Za proboszczem pojawił się mistrz Effarane.

Obecni spuścili oczy pod jego przenikliwym spojrzeniem. Co on robił w szkole? Dlaczego towarzyszył mu proboszcz?

Wydawało mi się, że patrzył szczególnie na mnie. Z pewnością mnie rozpoznawał. Poczuję się źle.

Tymczasem pan Valrügis zszedł z katedry, stanął przed proboszczem i zapytał:

– Co sprawia, że mam zaszczyt?...

– Panie magistrze, chciałbym przedstawić panu mistrza Effarane’a, który zapragnął odwiedzić pańskich uczniów.

– A to dlaczego?

– Spytał mnie, panie Valrügis, czy w Kalfermatt jest chór. Odpowiedziałem twierdząco. Dodałem, że był on wspaniały za czasów, kiedy dyrygował nim biedny Eglisak. Mistrz Effarane zapragnął go usłyszeć. Wobec czego przyprowadziłem mistrza dziś rano do pańskiej klasy, prosząc pana o wybaczenie.

Pan Valrügis wcale nie miał za co przyjmować przeprosin. Wszystko, co czynił proboszcz, było dobre. Wilhelm Tell tym razem poczeka.

Na gest pana Valrügisa usiedliśmy. Proboszcz w fotelu, który mu przyniosłem, mistrz Effarane na rogu stołu dziewczynek, które odsunęły się żywo, aby zrobić mu miejsce.

Najbliżej siedziała Betty i widziałem doskonale, że biedactwo brzydzi się długich rąk i długich palców, które rysowały koło niej kręgi w powietrzu.

Mistrz Effarane przemówił swoim przenikliwym głosem:

– Czy to są dzieci z chóru?

– Nie wszystkie do niego należą – odpowiedział pan Valrügis.

– Ile?

– Szesnaścioro.

– Chłopcy i dziewczynki?

– Tak – powiedział proboszcz – dziewczynki i chłopcy, a ponieważ w tym wieku mają takie same głosy...

– Błąd – zareplikował żywo mistrz Effarane – a ucho znawcy się w tym nie myli.

Czy byliśmy zaskoczeni tą odpowiedzią? Dokładnie, gdyż głos Betty i mój miały tak podobny tembr⁴¹, że nie można było odróżnić jej ode mnie kiedy rozmawialiśmy. Później oczywiście musiało być inaczej, ponieważ mutacja⁴² niejednakowo zmienia barwę dorosłych różnej płci.

Ale jakby nie było, nie należało dyskutować z taką osobą jak mistrz Effarane i wszyscy przyjęli wypowiedź za pewnik.

– Proszę, aby wystąpiły dzieci z chóru – poprosił, unosząc ramię jakby to była batuta dyrygenta orkiestry.

Ośmiu chłopców, w tym ja i osiem dziewcząt, w tym Betty, ustawiło się w dwóch rzędach naprzeciw siebie. Wtedy mistrz Effarane począł nas egzaminować tak, jak nikt nigdy za czasów Eglisaka. Trzeba było otworzyć usta, wyciągnąć język, wciągnąć powietrze i długo wydychać, pokazać mu gardło aż do strun głosowych, które, wydawało się, chciał wręcz uszczyplnąć palcami. Myślałem, że chce nas nastroić jak skrzypce i wiolonczele. Musicie mi uwierzyć, baliśmy się, zarówno dziewczęta jak i chłopcy.

Proboszcz, pan Valrūgis i jego stara siostra stali milcząco obok, nie ważąc się nawet na jedno słowo.

– Uwaga! – wykrzyknął mistrz Effarane. – Gama od wysokiego *c*, solmizując. Oto diapazon⁴³.

Diapazon? Oczekiwałem, że wyjmie z kieszeni mały przedmiot o dwóch ramionach, podobny do tego, jaki miał pan Eglisak, a której wibracje dawały oficjalne *a*, tak w Kalfermatt jak i gdzie indziej.

Jednak zdziwiłem się mocno. Mistrz Effarane pochylił głowę i kciukiem na pół złożonym stuknął krótko w podstawę swej czaszki.

O niespodzianko! Jego najwyższy krąg wydał metaliczny dźwięk, a było to precyzyjne *a*, o normalnych ośmiuset siedemdziesięciu drganiach⁴⁴.

Mistrz Effarane miał w sobie naturalny stroik. A *c*, o tercję małą wyżej dźwięku, wywoływał, uderzając palcem wskazującym o koniec swego ramienia:

– Uwaga! – powtórzył – Ad libitum⁴⁵!

Solfizowaliśmy gamę od *c*, najpierw w górę, potem w dół.

– Źle, źle!... – zawołał mistrz Effarane, kiedy tylko ucichła ostatnia nutka. – Słyszę szesnaście oddzielnych głosów, a powinienem słyszeć tylko jeden.

Moim zdaniem wydał mi się zbyt surowy, ponieważ mieliśmy zwyczaj śpiewać razem z wielką poprawnością, co przysparzało nam moc pochwał.

Mistrz Effarane pochylił głowę, rzucając na lewo i prawo spojrzenia niezadowolenia. Wydawało mi się, że jego uszy, obdarzone pewną ruchliwością, wyciągały się jak uszy psów, kotów i innych czworonogów.

– Powtarzamy! – wykrzyknął. – Teraz kolejno. Każde z was musi mieć własną nutę, nutę – jakby to powiedzieć – fizjologiczną, i jedyną jakiej powinien używać w zespole.

Jedyna nuta – fizjologiczna! Co miało oznaczać to słowo? Chciałbym wiedzieć, jaka była nuta fizjologiczna tego oryginała, a jaka była proboszcza, który to nut posiadał niezłą kolekcję, skądinąd jedną bardziej fałszywą od drugiej!

Zaczęliśmy nie bez poważnych obaw – czy ten straszny człowiek nie potraktuje nas źle? – i nie bez pewnej ciekawości, jaka jest ta nasza nuta osobista, którą powinniśmy pielęgnować w naszym gardle jak roślinkę w doniczce.

Zaczął Hocht, i po spróbowaniu kilku różnych nut gamy, *g* zostało mu przyznane przez mistrza Effarane'a jako nuta fizjologiczna, najwłaściwsza, najmocniej wibrująca spośród tych, jakie jego krtań mogła wydać.

Po Hoccie przyszła kolej na Farina, który na zawsze został skazany na naturalne *a*.

Potem inni moi koledzy przeszli ten dokładny egzamin i ich osobista nuta otrzymała stempel zatwierdzający mistrza Effarane'a.

Zbliżyłem się.

– Ach to ty, mały! – powiedział organista.

I biorąc moją głowę, zaczął obracać ją w tą i tamtą stronę, tak, że zacząłem obawiać się, iż mi ją odkręci.

– Sprawdźmy twoją nutę – podjął.

Zaśpiewałem gamę od *c* do *c*, w górę i w dół. Mistrz Effarane nie wydawał się zadowolony. Kazał mi zacząć jeszcze raz... Niedobrze... Niedobrze... Byłem wykończony. Ja, jeden z najlepszych w chórze, czyżbym był pozbawiony mojej indywidualnej nuty?

– Dalej! – wykrzyknął mistrz Effarane. – Gama chromatyczna!... Może w niej odnajdę twoją nutę.

I mój głos, postępując interwałami półtonów, podążył w górę oktawy.⁴⁶

– Dobrze... dobrze! – powiedział organista. – Mam twój dźwięk, a ty utrzymuj go przez całą nutę!

– Co to jest? – spytałem, drżąc nieco.

– To *d z krzyżykiem*.⁴⁷

I zaśpiewałem to *d z krzyżykiem* jednym tchem.

Proboszcz i pan Valrügis ośmielili się uczynić gest zadowolenia.

– Kolej na dziewczęta! – zakomenderował mistrz Effarane.

A ja pomyślałem:

– Gdyby Betty też mogła mieć to *dis*! Nie zdziwiłoby mnie to, bo nasze dwa głosy tak pięknie ze sobą brzmią!

Dziewczynki zostały przeegzaminowane kolejno. Jedna miała naturalne *h*, inna naturalne *e*. Kiedy przyszło do Betty Clère, stanęła do śpiewu przed mistrzem Effarane'em bardzo onieśmielona.

– No dalej, mała.

Zacząła śpiewać swym słodkim głosikiem o tak miłym tembrze, że wydawało się, iż słyszeć śpiew skowronka. Ale z Betty było tak, jak z jej przyjacielem, Josephem Müllerem. Trzeba było udać się po pomoc do gamy chromatycznej, aby znaleźć jej nutę, aby w końcu przydzielić jej *e z bemolem*.⁴⁸

Najpierw byłem tym zasmucony, ale, po zastanowieniu się, jednak się ucieszyłem. Betty miała *e z bemolem* a ja *d z krzyżykiem*. To dobrze! Czyż w sumie nie było to samo?... Zacząłem klaskać w dłonie.

– Co się z tobą dzieje, mały? – spytał organista, unosząc brwi.

– Bardzo się cieszę, proszę pana – ośmieliłem się odpowiedzieć – bo Betty i ja mamy tę samą nutę...

– Tę samą?... – zdziwił się mistrz Effarane.

Zaczął wstawać tak długo, że wydawało się, że jego ręka dotknie sufitu.

– Tę samą nutę! – podjął. – Ach, więc ty sądzisz, że *d z krzyżykiem* i *e z bemolem* to to samo, nieuku? Zaslugujesz na uszy osła! Czy to wasz Eglisak takich głupot was uczył? A pan to znosił, proboszczu?... I pan również, magistrze... I pani to samo, stara panno!

Siostra pana Valrügisa szukała kałamarza, aby rzucić nim w jego głowę. Ale on kontynuował, oddając się całkowicie swojej wściekłości.

– Mały nieszczęśniku, więc ty nie wiesz, co to jest *coma*,⁴⁹ ta ósemka tonu, która odróżnia *d z krzyżykiem* od *e z bemolem*, *a z krzyżykiem* od *h z bemolem* i tak dalej? Ach, czy nikt tutaj nie jest zdolny docenić ósmych części tonu? Czy w Kalfermatt są w uszach tylko bębenki sfatygowane, stwardniałe, zrogowaciałe, zniszczone?

Nikt nie ośmielił się poruszyć. Szyby w oknach drżały pod wpływem ostrego głosu mistrza Effarane'a. Było mi przykro, że wywołałem tę scenę. Smutno mi było, że między

głosem Betty i moim była ta różnica, nawet o ósmą część tonu. Proboszcz patrzył na mnie złym wzrokiem, pan Valrūgis przesyłał mi spojrzenia...

Ale organista nagle uspokoił się i powiedział:

– Uwaga! Każde na swe miejsce w gamie!

Zrozumieliśmy, co to oznacza, i każdy ustawił się według swej osobistej nuty, Betty na czwartym miejscu w randze swego *e z bemolem*, ja po niej, zaraz za nią, w randze mojego *d z krzyżykiem*. Teraz stanowiliśmy fletnię Pana, lub raczej rury organów z jedną nutą, jaką każde z nas miało prawo wydać.

– Gama chromatyczna – wykrzyknął mistrz Effarane. – I bez fałszu! Albo...

Nie trzeba było powtarzać drugi raz. Zaczął nasz kolega, obarczony *c*, potem następna nuta, potem Betty wydała swoje *e z bemolem*, potem ja z moim *d z krzyżykiem*, pomiędzy którymi uszy organisty zdawały się słyszeć różnicę. Po wzniesieniu się gama opadła, trzy razy pod rząd.

Mistrz Effarane wydawał się nawet dość zadowolony.

– Dobrze, dzieci! – powiedział. – Chyba uda mi się zrobić z was żywą klawiaturę.

A ponieważ proboszcz pochylił głowę, wyraźnie niezadowolony mistrz Effarane zapytał:

– A czemu nie? Zrobiono pianino z kotów, z kotów dobieranych według ich miauknięć, jakie wydawały, kiedy szczypano im ogony! Pianino z kotów! Z kotów! – powtórzył.

Zaczęliśmy się śmiać, nie wiedząc zbytnio, czy mistrz Effarane mówił poważnie, czy nie. Ale potem dowiedziałem się, że powiedział prawdę, mówiąc o tym pianinie z kotów, które miauczały, kiedy ich ogony były szczypane przez mechanizm! Dobry Boże! Czego to ludzie nie wymyślą!

Biorąc swój toczek, mistrz Effarane pozdrowił wszystkich, obrócił się na pięcie i wyszedł, mówiąc:

– Nie zapomnijcie swojej nuty, zwłaszcza ty, panie Dis, i ty też, panno Es!

VIII

Tak przebiegła wizyta mistrza Effarane'a w szkole w Kalfermatt. Zostałem nią mocno poruszony. Wydawało mi się, że *dis* wibruje bez przerwy w głębi mego gardła.

Tymczasem prace przy organach postępowały. Jeszcze osiem dni dzieliło nas od Bożego Narodzenia. Cały czas, kiedy byłem wolny, spędzałem na chórze. To było ode mnie silniejsze. Pomagałem jak najlepiej umiałem organiście i jego kalikantowi, z którego nie dało się wyciągnąć ani słowa. Teraz registry były w dobrym stanie, miechy gotowe do działania, klawiatura odnowiona a jej złocenia błyszcząły w półcieniu nawy. Tak, byliśmy gotowi do święta, no może oprócz tego, co dotyczyło słynnego aparatu głosów dziecięcych.

Rzeczywiście, przez niego to prace nie kończyły się. Widać to było aż nadto, ku urazie mistrza Effarane'a. Próbował, i znów próbował... Nie grało. Nie wiem, czego brakowało jego rejestrowi. On też nie wiedział. Stąd wynikały nieporozumienia, które objawiały się gwałtowną złością. Wściekał się na organy, na miechy, na kalikanta, na biednego Disa, który już nie mógł tego znieść, ale... Czasami myślałem, że on wszystko połamie i uciekałem... A co powiedziałyby cała społeczność Kalfermatt, zawiedziona w swej nadziei, gdyby wielka doroczna msza nie była celebrowana, jak przystoi, z wielką pompą?

Nie należało zapominać, że podczas tego Bożego Narodzenia chór nie miał śpiewać, bo był w rozszepce i byliśmy zdani na grę organów.

Krótko mówiąc, nadszedł ten świąteczny dzień. W czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin mistrz Effarane, coraz bardziej zdenerwowany, oddał się takim wybuchom wściekłości, że można byłoby obawiać się o jego rozum. Czyżby musiał zrezygnować z tych dziecięcych głosów? Nie wiedziałem, ponieważ tak mnie przerażał, że nie ośmielałem się wstępować na chór, a nawet do kościoła.

W wigilijny wieczór zazwyczaj kładzie się dzieci zaraz po zachodzie słońca i śpią one do mszy. Pozwala im to być rozbudzonymi w czasie Pasterki. Tak więc tego wieczora, po szkole, odprowadziłem aż do drzwi małą Es – tak już ją teraz nazywałem.

- Nie opuść mszy – powiedziałem jej.
- Nie, Josephie, a ty nie zapomnij swego modlitewnika.
- Bądź spokojna!

Wróciłem do domu, gdzie mnie już oczekiwano.

- Idź się położyć – powiedziała mi mama.
- Tak – odpowiedziałem – ale nie mam ochoty spać.
- Nieważne!
- Ale jednak...

– Zrób, co każe ci matka – powiedział ojciec – a obudzimy cię, kiedy będzie czas, by wstać.

Posłuchałem, ucałowałem rodziców i poszedłem na górę do mojego pokoiku. Czyste ubrania były powieszona na oparciu krzesła, moje buciki, wypastowane stały w pobliżu drzwi. Nic, tylko założyć je, wyskakując z łóżka, po umyciu sobie tylko twarzy i rąk.

Szybko wślizgnąłem się pod pierzynę, zgasiłem świecę, lecz pozostała jeszcze poświata spowodowana przez pokrywający okoliczne dachy śnieg.

Oczywiście nie trzeba mówić, że wyszedłem już z wieku, kiedy wstawia się bucik do kominka, aby rankiem znaleźć w nim świąteczne prezenty. Ale zacząłem wspominać, że były to dobre czasy i żał mi było, że nie powrócą. Ostatni raz było to trzy albo cztery lata temu. Moja droga Es znalazła śliczny srebrny krzyżyk w swoim pantofelku... Nie mówcie jej o tym, ale to ja go tam włożyłem!

Potem te wesołe sprawy uleciały z mej głowy. Myślałem o mistrzu Effarane. Widziałem go siedzącego koło mnie, w tej długiej kapocie, z długimi nogami, długimi rękami, długą twarzą... Mogłem sobie próbować odwrócić własną uwagę, ale ciągle go widziałem, czułem jego palce przebiegające wzdłuż mojego łóżka...

W końcu, po kilkakrotnym odwróceniu się z boku na bok, udało mi się zasnąć.

Ile czasu trwał mój sen? Nie wiem. Ale nagle zostałem gwałtownie przebudzony, jakaś ręka spoczęła na moim ramieniu.

– Chodźmy Dis! – powiedział mi głos, który rozpoznałem natychmiast. Był to głos mistrza Effarane’a.

– Chodźmy więc, Dis... już czas... Chcesz spóźnić się na mszę?

Słuchałem, ale nie rozumiałem.

– Czy mam cię siłą z łóżka wyciągać jak chleb z pieca?

Pościel została gwałtownie odrzucona. Otworzyłem oczy i zostałem oślepiiony światłem lampy zwisającej na końcu czyjejs dłoni...

Jakież przerażenie mnie ogarnęło! To faktycznie był mistrz Effarane, mówił do mnie!

– Chodźmy Dis, ubieraj się.

– Ubrać się?...

– Chyba, że chcesz iść na mszę w koszuli! Nie słyszysz dzwonu?

Rzeczywiście, dzwon dzwonił z całych sił.

– No więc, Dis, zechcesz się ubrać?

Nieświadomie, ale w ciągu jednej minuty byłem ubrany. To prawda, mistrz Effarane pomagał mi a to, co on robił, zawsze robił szybko.

– Chodź – powiedział, zabierając lampę.

– Ale mój ojciec, moja matka?... Czy ich zobaczą?...

– Są już w kościele.

Zdziwiło mnie to, że wcale na mnie nie poczekali. Zeszliśmy na dół. Drzwi domu zostały otwarte, potem zamknięte, i znaleźliśmy się na ulicy. Jak zimno! Plac cały biały, niebo usłane gwiazdami. W głębi, na jego tle, maluje się kościół a jego dzwonnica wydaje się oświetlona gwiazdą.

Szedłem za mistrzem Effarane’em, ale ten, miast skierować się ku kościołowi, chodził ulicami, to tam, to tu. Zatrzymywaliśmy się przed domami, których drzwi zaraz się otwierały – nie musieliśmy nawet pukać. Moi koledzy wychodzili, ubrani w swoje świąteczne ubrania: Hocht, Farina, wszyscy, którzy stanowili część chóru. Potem przyszła kolej na dziewczynki – pierwsza była moja mała Es. Wziąłem ją za rękę.

– Boję się – powiedziała.

Bąłem się odpowiedzieć: „ja też”, obawiając się przestraszyć ją jeszcze bardziej. W końcu byliśmy w komplecie: wszyscy mający swą własną nutę, cała chromatyczna gama, ot co!

Jaki jest zamysł organisty? Czy, nie mogąc uruchomić swego aparatu głosów dziecięcych, postanowił sformować taki rejestr za pomocą dzieci z chóru?

Chcieliśmy czy nie, musieliśmy słuchać tego niesamowitego osobnika, tak jak muzycy słuchają swego dyrygenta, kiedy batuta drży w jego dłoniach. Drzwi boczne kościoła były

tuż. Przekroczyliśmy je dwójkami. Nikogo jeszcze nie było w nawie, zimnej, ciemnej i cichej. A on powiedział mi, że moi rodzice na mnie tu czekają! Zapytam go, ośmielę się go spytać!

– Zamilcz Dis – odrzekł mi. – Pomóż małej Es wejść.

No i zrobiłem to. Weszliśmy wszyscy po wąskich, krętych schodkach i doszliśmy do podestu chóru, który nagle cały się rozświetlił. Klawiatura organów była już otwarta, miech na miejscu, gotowy; można by było powiedzieć, że jest nadęty całym wiatrem miechów, tak wydawał się olbrzymi!

Na znak mistrza Effarane'a ustawiamy się w rzędzie. On wyciąga rękę: pokrywa organów otwiera się, potem zamyka nad nami...

Wszyscy szesnaścioro zamknięci jesteśmy w rurach wielkiego rejestru, każde z nas osobno, ale sąsiadując ze sobą. Betty znajduje się w czwartej rurze jako *e z bemolem*, a ja w piątej jako *dis*! A więc miałem rację, odgadłem myśl mistrza Effarane'a. Nie ma już wątpliwości. Nie mogąc nastroić swego instrumentu, z członków chóru złożył rejester dziecięcych głosów i kiedy poprzez otwór w rurze dotrze do nas powiew, każde z nas wyda swą nutę! To nie koty, to ja, to Betty, to nasi wszyscy koledzy będą uruchamiani klawiszami!

– Betty, jesteś tam? – wykrzyknąłem.

– Tak, Josephie.

– Nie bój się, jestem koło ciebie.

– Cisza! – krzyknął mistrz Effarane.

Zamilkliśmy.

IX

Tymczasem kościół wypełniał się powoli. Poprzez otwór w gwizdku mojej rury mogłem widzieć tłum wiernych rozchodzących się po nawie, teraz błyszcząco oświetlonej. To te rodziny, które nie wiedziały, że ich szesnaścioro dzieci zostało uwięzione w organach! Wyraźnie słyszałem hałas kroków na bruku nawy, szuranie krzeseł, stukot butów i obcasów, z tym szczególnym pogłosem typowym dla kościołów. Wierni zajmowali swe miejsca na Pasterce, a dzwon dzwonił dalej.

– Jesteś tam? – zapytałem jeszcze Betty.

– Tak, Josephie – odpowiedział mi nikły, drżący głosik.

– Nie bój się... nie bój się, Betty!... Jesteśmy tu tylko na czas mszy... Potem nas wypuszczą.

W głębi duszy myślałem, że to nieprawda. Nigdy mistrz Effarane nie wypuści tych ptaszków z klatki, a jego diabelska moc będzie mogła nas zatrzymać na długo... Być może, na zawsze!

W końcu zadzwonił dzwoneczek prezbiterium. Proboszcz i dwaj ministranci podeszli ku stopniom ołtarza. Zaczynała się ceremonia.

Ale jak to może być, że nasi rodzice się o nas nie martwią? Zauważyłem mojego ojca i matkę na ich zwykłym miejscu, całkiem spokojnych. Tak samo byli spokojni pan i pani Clère'owie. Spokojne rodziny naszych kolegów. To było niewyjaśnialne. Kiedy myślałem o tym, wielki podmuch wiatru przeszył organy. Wszystkie rury zajęczały jak las pod naporem wiatru. Miech działał całą mocą.

Mistrz Effarane zaczął więc, w oczekiwaniu na *Introit*,⁵⁰ grać. Wielkie registry, nawet pedały, były głośnie jak gromy. Zakończyło się to wspaniałym końcowym akordem, wyciśniętym na niskich piszczałkach trzydziestodwustopowych. Potem proboszcz zaintonował *Introit: Dominus dixit ad me: Filius meus es tu.*⁵¹ I, wraz z *Gloria*, nastąpił nowy atak mistrza Effarane'a, tym razem na register trąbek.

Przestraszony, czekałem na moment, kiedy tchnienia miechów wpłyną do naszych rur, ale bez wątplenia organista rezerwował nas na środek mszy...

Po *Oracji* nadeszła *Epistola*, po *Epistole Graduał*, zakończony dwoma wspaniałymi *Alleluja* z akompaniamentem wielkich rejestrów.

Organy zamilkły na czas *Ewangelii* i *Homilii*, w której proboszcz podziękował organiście za przywrócenie zamilkłych głosów instrumentowi kościoła Kalfermatt...

Ach, gdybym mógł krzyczeć, wysłać moje *dis* poprzez otwór rury!

Oto *Ofiarowanie*, a na jego słowa: *Laetentur coeli, et exultet terra ante faciem Domini quoniam venit*⁵² – przyjemne preludium mistrza Effarane'a ze współbrzmieniem dźwięków fletu połączonego z dubletkami. To było wspaniałe, trzeba to przyznać. Przy brzmieniu o niewysłowionym wdzięku nieba się cieszą i wydaje się, że chóry niebieskie śpiewają chwałę Bożego Dzieciątka.

Trwało to pięć minut, które wydały mi się pięcioma wiekami, ponieważ czułem, że nadchodzi już kolej na głosy dziecięce. Miał to być moment *Podniesienia*, na którą to chwilę wielcy artyści rezerwują najsubtelniejsze improwizacje swego geniuszu.

Tak naprawdę – byłem bardziej martwy niż żywy. Wydawało mi się, że nigdy żadna nuta nie będzie mogła wyjść z mego gardła, wyschniętego treścią oczekiwania. Ale, mimo woli wstrzymując oddech, wyczekiwałem na moment, kiedy mnie nadmie przeznaczony mi klawisz.

W końcu nadeszło *Podniesienie*, którego tak się bałem. Dzwonek wydał ostre dźwięki. Cisza ogólnego skupienia zapanowała w nawie. Czoła pochylili się, kiedy dwaj ministranci unieśli ornat proboszcza...

Ja, mimo że byłem pobożnym chłopcem, nie byłem wcale skupiony! Myślałem jedynie o burzy, jaka miała wybuchnąć pod moimi stopami! Powiedziałem półgłosem, tak aby tylko ona mnie słyszała:

– Betty?

– Słucham, Josephie?

– Uważaj, teraz będzie nasza kolej!

– Ach, Jezus, Maria! – zawołała moja biedna mała.

Nie pomyliłem się. Rozległ się wyraźny dźwięk. Był to odgłos ruchomego regulatora, który kieruje nawiew wiatru do wejścia rejestru głosów dziecięcych. Melodia, słodka i przenikająca, wleciała pod sklepienie kościoła w momencie, gdy dokonywał się boski cud.

Słyszę *g* Hocta, *a* Fariny; potem jest to *e* z *bemolem* mojej drogiej sąsiadki. Następnie powiew wypełnia moją pierś, powiew subtelnie wymierzony, który wyrывa *dis* z moich ust. Chciałbym zamilknąć, ale nie mogę! Jestem już tylko instrumentem w rękach organisty. Klawisz, jaki ma on na klawiaturze, to jak zastawka mego serca, która się uchyla...

Ach, jakież to jest rozdzierające! Nie! Jeżeli tak będzie się działo dalej, wtedy to, co z nas będzie się wyzwalało, to już nie będą nuty, ale krzyki, krzyki bólu!... I jak odmalować torturę, jaką odczuwam, kiedy mistrz Effarane wystukuje straszliwą ręką akord opadającej septymy,⁵³ w której zajmowałem drugie miejsce: *c, dis, fis, a!*...

I gdy okrutny, nieprzejednany artysta ciągnie nieskończenie, zapadam w omdlenie, czuję, jakbym umierał i... tracę przytomność...

Sprawia to, że ta znana opadająca septyma, nie mając już swego *dis*, nie może być zakończona zgodnie z regułami harmonii...

X

Co ci jest? – powiedział mój ojciec.

– Ja... ja...

– No, obudź się, pora iść do kościoła...

– Pora?

– Tak! Z łóżka, albo opuścisz mszę, a wiesz, że gdy nie ma mszy – to nie ma Wieczery!

Gdzie ja byłem? Co się wydarzyło? Czy to wszystko było tylko moim snem? Uwięzienie w rurach organów, kawałek z *Podniesienia*, moje pękające serce, moje gardło nie mogące wydać swego *dis*? Tak, moje dzieci, od momentu, kiedy zasnąłem, aż do chwili, gdy ojciec przyszedł mnie obudzić, wszystko to śniłem dzięki mojej nadmiernie pobudzonej wyobraźni.

– A mistrz Effarane? – spytałem.

– Mistrz Effarane jest w kościele – odpowiedział mój ojciec. – Twoja matka też już tam jest. A ty ubieraj się!

Ubrałem się jakbym był pijany, słysząc cały czas tę maleńką, torturującą, niekończącą się septymę...

Przybyłem do kościoła. Zobaczyłem wszystkich na właściwych im miejscach: moją mamę, pana i panią Clère, moją drogą małą Betty, dobrze opatuloną, bo było bardzo zimno.

Dzwon dźwięczał jeszcze za odgłoścnicą⁵⁴ dzwonnicy, mogłem go więc jeszcze słyszeć w ostatnich frazach.

Proboszcz, odziany w ornat wielkoświąteczny, stanął przed ołtarzem i oczekiwał brzmienia marsza triumfalnego. Ale jakaż niespodzianka! Miał wydać pierwsze tony, które winny poprzedzić *Introit*, organy milczały. Nic! Ani nuty!

Kościelny wszedł aż na chór... Mistrza Effarane'a tam nie było.

Zaczęto go szukać. Na próżno. Organista zniknął. Zniknął też kalikant. Mistrz, wściekły zapewne o to, że nie mógł osiągnąć sukcesu w ułożeniu współbrzmienia chórków dziecięcego, opuścił kościół bez pobrania należnej mu zapłaty, następnie miasteczko, i nie zobaczono go już nigdy w Kalfermatt.

Przyznaję, moje dziatki, że nie zmartwiło mnie to, bo w towarzystwie tej dziwacznej osoby stałbym się szaleńcem i musiano by mnie zamknąć w separacie!

A jeżeli bym zwariował, to dziesięć lat później pan Dis nie mógłby poślubić panny Es – a małżeństwo to pobłogosławione zostało przez niebiosy, jeżeli takie istnieją. Dowodzi to, że mimo różnicy ósmej części tonu, owej *comy*, jak to mówił mistrz Effarane – można jednak być szczęśliwym w małżeństwie.

Przypisy

¹ Jezioro Konstancji – dawna nazwa jeziora Bodeńskiego położonego w pn.-wsch. Szwajcarii, w kantonie Appenzel; Konstanz – miejscowość nad tym jeziorem.

² Wilhelm Tell – legendarny, szwajcarski bohater narodowy.

³ Gessler Hermann – habsburski wójt Altdorf (Uri), który zmusił Wilhelma Tella, pod karą śmierci, do zestrzelenia jabłka z głowy swego małoletniego syna za to, że ten nie chciał złożyć ukłonu przed kapeluszem, symbolem władzy cesarskiej; zastrzelony przez Tella, co stało się sygnałem do powstania sprzysiężonych.

⁴ Helwecja – dawna, z języka łacińskiego pochodząca nazwa Szwajcarii.

⁵ *Przenieść do muzyki* – już w 1829 roku odbyła się prapremiera opery Gaetano Rossiniego *Wilhelm Tell*.

⁶ ...*Antyfony z antyfonarza* – krótki tekst modlitewny, dawniej śpiewany przez dwa chóry; antyfonarz – zbiór śpiewów liturgicznych, zwłaszcza antyfon.

⁷ Falset – głos męski wyższy od naturalnego, naśladowujący głos kobiecy.

⁸ Wersety, motety, responsoria: werset – drobny fragment tekstu; motet – utwór wokalny, polifoniczny, przeznaczony do wykonywania podczas nabożeństw; responsorium – w mszy, liturgii, części odmawiane lub śpiewane przez kapłana lub lub odpowiadających mu wiernych.

⁹ Serafini – jeden z chórów anielskich, noszący trzy skrzydła.

¹⁰ Solfeż – nauka czytania nut głosem z zastosowaniem solmizacji, bez pomocy instrumentu.

¹¹ Wokaliza – śpiew na samogłosce a, bez słów; ćwiczenie przy nauce śpiewu.

¹² Kontrapunkcista – kompozytor wykorzystujący metodę kontrapunktu, czyli zestawiania według określonego wzoru linii melodycznych i uzyskujący efekt polifonii (wielogłosowości).

¹³ Fuga – rodzaj polifonicznego utworu muzycznego, instrumentalnego lub wokalnego.

¹⁴ Transcendentalna – wykraczająca poza treść i przedmiot poznania.

¹⁵ Kontratenor – najwyższy głos męski.

¹⁶ Profan – tu: w znaczeniu kantor, organista, nauczyciel.

¹⁷ ...Oznaczenia nut gamy – ten hymn miał już dawno swą melodię, zapisaną w średniowiecznych neumach rzymskich (rodzaj notacji muzycznej stosowanej w VIII-X wieku).

¹⁸ Guido z Arezzo (ok. 990 - ok. 1050) – włoski teoretyk muzyki, jeden z najwybitniejszych w średniowieczu, twórca solmizacji, tj. przypisania dźwiękom odpowiednich głosek; Guido i Guido z Arezzo to ta sama osoba.

¹⁹ Czula nuta – tzn. *si*, bo po włosku znaczy to „tak”; *ut* zastąpiono w XII wieku sylabą *do*, od nazwiska reformatora notacji muzycznej – J. B. Doniego.

²⁰ Eden – mityczny raj.

²¹ Kompleta – część Mszy św., jedna z części Oficjum, to jest zbioru modlitw na każdy dzień roku kościelnego.

²² Kalikant – pomocnik organisty, którego zadaniem jest dąć w miech.

²³ Arpeggio – wykonanie akordu polegające na szybkim następcie składających się nań dźwięków.

- ²⁴ Pelisa – rodzaj damskiego, futrzanego płaszcza zimowego.
- ²⁵ Prefacja – część mszy świętej.
- ²⁶ *Supplici confessione dicentes (łac.)* – końcowe słowa Prefacji na Boże Narodzenie, odpowiadające w obrządku polskim słowom: śpiewamy, nieustannie wołając...
- ²⁷ *Gloria, Adeste Fideles, Exultet* – tytuły pieśni na Boże Narodzenie; Gloria (in excelsis Deo) – Chwała (na wysokości Bogu); Adeste Fideles – Zbliźcie się wierni; Exultet – Niech się raduje...
- ²⁸ Serpent – dawny instrument dęty, drewniany, skręcony jak wąż.
- ²⁹ Po sześciu dniach – według wcześniejszych stwierdzeń autora, dzieci miały wolne czwartki i niedziele, czyli w tygodniu było pięć dni pracujących.
- ³⁰ Salviati – włoski kompozytor.
- ³¹ *Crescendo* – coraz głośniej – wzmocnienie dźwięku; *diminuendo* – coraz ciszej – osłabienie dźwięku.
- ³² Burdon (z fr.) – wielki dzwon.
- ³³ Kwarta, seksta – czwarty i szósty stopień skali diatonicznej.
- ³⁴ Egzorcyzmy – rodzaj modlitwy odpędzającej złe duchy, obecnie prawie nie odprawiane.
- ³⁵ Oktawa – stopień interwału.
- ³⁶ Klucz f – jeden z kluczy stosowanych w notacji muzycznej (?), klucz basowy.
- ³⁷ Od strony Węgier – właściwie Austro-Węgier.
- ³⁸ Nazwiska słynnych organistów.
- ³⁹ Toczek – rodzaj okrągłego nakrycia głowy.
- ⁴⁰ Fletnia Pana – in. multanka, prosty, dęty instrument muzyczny.
- ⁴¹ Tembr – charakterystyczne brzmienie głosów ludzkich lub instrumentów.
- ⁴² Mutacja – właściwie dotyczy to tylko chłopców.
- ⁴³ Diapazon – tu: kamerton, widełki stroikowe.
- ⁴⁴ Osiemset siedemdziesiąt drgań – właściwie powinno być 880 drgań na sekundę.
- ⁴⁵ Ad libitum (wł.) – dowolnie.
- ⁴⁶ Oktawa – tu: gama.
- ⁴⁷ *Krzyżyk* – znak w zapisie nutowym podwyższający dźwięk o pół tonu; *d z krzyżykiem* – dis.
- ⁴⁸ *Bemol* – znak w zapisie nutowym obniżający dźwięk o pół tonu; *e z bemolem* – es.
- ⁴⁹ *Coma*, pol. koma, komat – tu: niezwykle drobna różnica wysokości dźwięku, dająca się zmierzyć fizycznie jedynie bardzo czułymi przyrządami.
- ⁵⁰ Introit, Gloria, Oracja, Epistoła, Graduał, Alleluja, Ewangelia, Homilia, Offertorium – kolejne części Mszy św. wg obrządku łacińskiego.
- ⁵¹ *Dominus dixit ad me: Filius meus es tu (łac.)* – Pan rzekł do mnie: tyś Synem moim (Ps. 2,7).
- ⁵² *Laetentur coeli, et exultet terra ante faciem Domini quoniam venit (łac.)* – Niech niebo się weseli i ziemia raduje przed obliczem Pana, bo On przychodzi (Ps. 95, 11-13).
- ⁵³ Opadającej septymy – akord czterodźwiękowy zmniejszony, uważany w klasycznej harmonii za niedopuszczalny, dysonansowy.
- ⁵⁴ Odgłościca – zadaszanie w formie kopuły chroniące dzwon przed opadami atmosferycznymi i działające jako pudło rezonansowe.